

№ 49. Rok XVII.

Dnia 22 Listopada (4 Grudnia) 1897 r.



# WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Adam Mickiewicz

## PRZED SETNĄ ROCZNICĄ.

Zbliżająca się setna rocznica urodzin Mickiewicza i chwila wzniesienia dla niego pomnika, przypominają nam słowa kaznodziei, wyrzeczone w mowie pogrzebowej, że Bóg zesłał nam w nim króla myśli i słowa, księcia serca i pieśni. W pieśniach Mickiewicza niby w zwierciadle, odbija się ziemia, pola, lasy nasze, opisane pięknie i prawdziwie. Poeta opowiada o ludziach, co je zamieszkują, o ich wierzeniach, zwyczajach, radościach i smutkach, o przodkach co „górnio” swe życie przeżyli.

Nie mamy tu miejsca na opowiadanie co i jak pisał Mickiewicz, chcemy tylko wytknąć, co w jego księgach ludzie tak bardzo cenią i wielbią.

Mickiewicz gorąco ukochał Boga, swą wiarę, swój kraj rodzinny i w-półbraci. Wiecie o tem dobrze, że każdy człowiek współczuje z bliskimi swemu sercu, z rodzicami, rodzeństwem, krewnymi i przyjaciółmi, cieszy się ich radością, smuci ich smutkiem. Mickiewicz kochał nie tylko swą rodzinę i przyjaciół, on gorąco umiłował cały naród! wszystkich ludzi, bogatych i ubogich, wesołych i smutnych; czcił pamięć zmarłych przodków, jak syn najlepszy, kochał współczesnych jak brat, pragnąc ich dobra i szczęścia. Sam powiada on o sobie, że może się nazwać Milionem, bo „za miliony kocha i cierpi.”

Jako przedmiot do prac swoich brał Mickiewicz najczęściej zdarzenia zwykłe i przedstawiał ludzi zwyczajnych.

Przed Mickiewiczem, w poezji przedstawiano jakichś niezwykłych bohaterów, opisywano naturę wyszukanie piękną, której gdzieś daleko trzeba było szukać, używano przytem w literaturze języka niepodobnego do mowy żywej.

Mickiewicz, miłujący wszystko co swojskie, pierwszy zaczął wprowadzać do swoich utworów ludzi prostych, pokazując w ich charakterze dobre i piękne strony, opisywał naturę, którą w koło siebie widzimy, zachwycając się brzoza, co roztoczywszy warkocze ku ziemi, płacze jak wieśniaczka na nogile syna, puszczając litewską z niebem pochmurnem. W ten sposób zwrócił uwagę na piękność naszego otoczenia, nauczył je rozumieć i kochać.

Poezje swoje pisał Mickiewicz językiem barwnym, żywym i urozmaiconym, choć zarazem tak przystępnym i podobnym do mowy potocznej, że wiele z nich może zrozumieć człowiek niewykształcony i dziecko nawet. Dlatego może spełnić się marzenie poety, który pragnął, żeby jego „księgi zbłądziły pod strzechy”, te księgi proste, jako ich piosenki! Bo też w prostych śpiewkach ludowych widział Mickiewicz wiele piękności i niektóre ze swych piosenek wzorował na nich.

Słyszeliście zapewne o balladach Mickiewicza, w których poeta najczęściej opowiada o wierzeniach ludowych. Niektóre z nich jak „Pani Twardowska” znacnie może, a „Powrót Taty” umiecie już pewnie na pamięć.

Obrzędy ludowe przy obchodzie dnia zadusznego są opisane w II-jej części poematu „Dziady.”

Mickiewicz wprowadza tam także dzieci i każe nawet przemawiać pieszczotliwym językiem dziecięcym, gdy wśród innych duchów, opowiadających o swem życiu zagrobowem, pojawiają się dwie małe duszyczki.

Prócz ballad i „Dziadów” napisał Mickiewicz jeszcze bardzo wiele innych utworów.

Do większych jego poematów, t. j. opowiadań wierszem, należą: „Pan Tadeusz,” „Konrad Wallenrod,” i „Grażyna,” w „Konradzie Wallenrodzie” i „Grażynie” opowiada poeta o dawnych walkach Krzyżaków i Litwinów. W „Panu Tadeuszu” przedstawia życie Litwy w początku XIX w. Szczególniej piękne są w tem arcydziele opisy natury.

Obok większych utworów pisał Mickiewicz i poezje drobniejsze, naprzykład piękne bajki, w których wszystkie zwierzęta występują jakby żywe. Któż nie zna opowiadań o „Wilku i psie”, „Lisie i kozle”, „Kozie, kózce i wilku” i tyłu innych.

Pozostawił także utwory prozą. Prócz talentu posiadał naukę, więc wykładał w Lozannie i w Paryżu literaturę słowiańską.

O życiu swem Mickiewicz sam powiada, iż miał „działalność sielskie, anielskie,” „młodość górną i chmurną, wiek męzki — wiek kłęski”.

Po szczęśliwie spędzonym dzieciństwie, już w młodości poznał różne zawody i cierpienia, a przez całe życie ciężko pracował.

Wśród trosk i przeżyć najcięższych, zachowywał jednak hart duszy i spokój. O siebie nigdy nie dbał; bez szemrania przerywał pracę poetycką dla zarobkowej, żeby zapewnić chleb rodzinie.

W stosunkach swych z ludźmi był Mickiewicz niezwykle uprzejmym i skromnym. Tak mało trzymał o sobie, arcydzieło swoje „Pana Tadeusza” czytał przyjaciółom i ciępliwie wysłuchiwał ich uwag.

Odbarzony przez Boga niezwykłym geniuszem, dzięki któremu mógł odczuć i zrozumieć cały naród, umiał swoje wyrażać pięknie i zrozumiale, Mickiewicz niewiele często chwile szczególnego natchnienia. Mógł wtedy i przewidywać, czyli bez przygotowań mówić cudnym wierszem. Twarz mu wtedy pałała, oczy błyszczały, i od całej postaci bił blask takiej siły, miłości i piękna, że ci co wieszali się w słyszeli, padali na kolana wzruszeni i zasłuchani w pieśń jego cudowną.

W ogóle pieśni Mickiewicza natchnione i wypływające z wielkiej miłości ludzi, niewoliły ku niemu wszystkie serca, tak, iż otrzymał to, o czem marzył: „rząd dusz w-półbraci, których swoją pieśnią podnosił, uszlachetniając, przelewając w ich piersi „własne swe ognie” i wskrzeszając postacie zamierzchłej przeszłości

Pomniki wszelkie nie dodadzą nic do chwały Mickiewicza. W duszy tych co go czytali ma on pomnik najpiękniejszy, a w sercach żyje ciągle i jak dawniej uczy kochać i pracować. Poeta radzi wszystkim nie tracić czasu i od lat najmłodszych pracować dla pożytku bliźnich, widząc swe szczęście „w szczęściu wszystkich”.

Znaczną część „Pana Tadeusza”, „Grażyny”, „Pieśń Wajdeloty z Konrada Wallenroda”, wiele bajek, powiastek, niektóre ballady, zrozumieją z pewnością nasi czytelnicy i wtedy bardziej jeszcze pokochają wielkiego poeę; 42 letnia rocznica jego śmierci przypada właśnie 24 listopada r. b.

H. Orsza.

Maryja Łopuszańska.

## W WIEJSKIEJ ZAGRODZIE.

(Dalszy ciąg).

— Tędy — rzekł Maksym, wskazując na coś w rodzaju wązkiego gżemu, idącego wzdłuż jednej ze skał. Widząc że łowczyna się waha, wziął ją za rękę i pociągnął za sobą. Następnie to samo zrobił z Terenią, Anka przeszła sama. Wkrótce znaleźli się przed wejściem do pieczary; był to nie wielki, okrągły otwór, położony na łokieć nad ziemią i tak zarosnięty krzakami leszczyny i świdziny, że ktoś nie wtajemniczony nie mógł go dostrzedz. Bluszcze, chmiel dziki i białe powoje tworzyły nad wejściem zasłonę z zieleni. Tu obok z pomiędzy głazów omszonych, wytryskiwało małe źródło, które spadając po kamieniach, tworzących jakby stopnie ułbrzymie, szemrało bardzo cicho i gubiło się gdzieś w zaroślach.

— Ot i pieczara nasza — rzekł Maksym. — Może ci będzie przydatnym schronieniem na jaką dobę albo i dwa dni. Tuż bliźutko macie wodę, a w lesie rosną grzyby i jagody, a i pożywić się jest czem tymczasem. A teraz kiedy już jesteście bezpieczne, bywajcie zdrowe.

— Gdzież to idziecie Maksymie? — spytała Anka. Co do Hordijowiec?

— O tak, idźcie tam, idźcie, niech wiem, co się dzieje z moim synem — rzekła łowczyna, składając ręce.

— Mówiłem już, że tam iść nie mogę, boby mię zaraz pochwycono, ale pójdę w stronę Uszycy, może gdzie po drodze napotkam oddział którego z panów, uganiający się za opryszkami; powiem mu wtedy w jakiej biedzie znajduje się syn pana łowczego, to przecież pójdą mu na pomoc.

Idź więc i niechaj cię Bóg wspiera i prowadzi — rzekła łowczyni z wdzięcznością.

I odszedł Maksym, a one zostały same w ciemnej pieczarze, w której panował wilgotny chłód, a prócz szelestu sączącego się niedaleko źródła i śpiewu ptaków w zaroślach, żaden odgłos niedochodził tutaj! Kilkadziesiąt sążni wysokości oddzielało je od Dniestru, który płynął u stóp ich błękitny i spokojny. Coś w rodzaju małego kamiennego tarasu rozciągało się u wejścia do grotty; dalej widniała przepaść pełna mgły niebieskawej. Siedząc w pieczarze, która przedstawiała rozmiary niewielkiej izby, wszystkie trzy kobiety wkrótce chłód uczuły; pierwsza Anka wyszła na taras i obejrzała się dokoła. Pomimo zmęczenia i niepokoju została oczarowana widokiem pełnym wdzięku i majestatu, który się przed nią rozciągał. Słońce już wbiło się ponad krańce widnokregu i pękami złocistych promieni usiłowało przebić mgłę kłębiącą się jeszcze nad rzeką; w oddaleniu widać było jakieś czółno rybackie a kilka rybitw z krzykiem ważyło się nad falami. Zresztą cisza, pustka; z jednej strony bór gęsty, z drugiej woda, i skały strone piętrzące się ze wszech stron, oto co otaczało teraz uciekające kobiety.

— Nie to, nie przepadniemy, pomyślała Anka, nabierając dziwnej jakiejś otuchy, w obec tego nieba szerokiego i jasnego. Czuję ja dobrze, że Bóg jest nad nami, on nas wszystkich ocali i ochroni. — A teraz trzeba pójść nabierać w lesie suchych gałęzi i rozpaścić ogień, bo biedna mama drży od zimna.

To mówiąc poczęła rozglądać się dokoła czy niema jakiejś łatwiejszej drogi do lasu. Wistocie z przeciwnej strony gęzms się rozszerzał znacznie, a od niego w górę szło coś w rodzaju rozpadliny skalnej, tworzącej miejscami dość wygodne stopnie.

Anka aż klasnęła w ręce, ujrawszy to, i poczęła zaraz piąć się ku górze. Dostawszy się do lasu, nabierała sporą wiązkę suchych gałęzi, których moc leżała na ziemi, i związawszy je swoim paskiem, zarzuciła na plecy jak to czynią wieśniaczki. Powróciwszy do pieczary, natychmiast zajęła się rozpaleniem ognia. Szczęściem, że Maksym nie zapomniał im zostawić krzesiwo i hubkę, to też wkrótce wesoły płomień buchnął w górę, oświetlając wilgotne ściany pieczary.

Następnie Anka namówiła Terenię i poszły razem nabierać jagód i grzybów w lasie, bo trzeba było pomyśleć choć o jakimkolwiek pożywieniu. Łowczyni była tak przygnębiona troską o syna, że o niczem innym myśleć nie mogła i przedsięwzięcie Anki bardzo się teraz przydała, bo Terenia, wytrącona ze zwykłego otoczenia i warunków, nie umiała się oswoić z nowym położeniem, okazując tem, że wcale nie była stworzoną do znoszenia przygód i niebezpieczeństw.

Natomiast Anka czuła się jakby w swoim żywiole, niebezpieczeństwo podniecało w niej wrodzoną energię, która dotąd nie miała pola do uwydatnienia się na zewnątrz.

## VIII

Maksym szedł tymczasem brzegiem Dniestru kierując się w stronę Uszycy, w tej nadziei, że spotka po drodze jakiś oddział wojska. Podróż była dość uciążliwą, bo trzeba było przebywać jary, schodzące ku Dniestrowi i przecinające w poprzek drogę. Wreszcie Maksym napotkał niewielką leśną łąkę na której pasło się kilka koni, a nie widać było wcale koniucha. Skorzystał z tego i chwyciwszy jednego z nich za grzywę wskoczył mu na grziet.

— Teraz przynajmniej prędzej pójdzie podróż — pomyślał. — W takiej potrzebie, gdy idzie o życie, nie grzech ukraść konia.

W istocie koń go poniósł dość szybko w obranym kie-

runku. Kiedy słońce już zbliżało się ku środkowi nieba, ukazał się brzeg lasu a za nim czyste pola zbożem obsiane.

— Dajże Boże abym jak naprędzej spotkał jakie wojsko — rzekł do siebie Maksym.

Niedługo po wygłoszeniu tego życzenia ujrzał na drodze tuman kurzu, i wkrótce liczne kopyta zatętniały i ukazały się szeregi jeźdźców uzbrojonych. Maksym, widząc porządek, w jakim postępowali, odrazu poznał, że to nie byli opryszki i natychmiast poskoczył ku nim. Na czele jechał jakiś szlachcic, w średnim wieku, o minie butnej i narsowej — był to pan Silnicki, dawny znajomy łowczego. Maksym widział go na pogrzebie starego pana i poznał odrazu.

Podjechawszy więc bliżej, zsiadł z konia i — rzekł, zdejmując czapkę:

— Wysłuchajcie mię, wielmożny panie, bo mam wam powiedzieć coś bardzo ważnego.

Ton jego głosu był tak przekonujący, że szlachcic natychmiast wstąpił doń i zapytał, czego chce. Wtedy Maksym opowiedział mu w krótkich słowach o niebezpieczeństwie, w jakim znajduje się rodzina łowczego i, że trzeba jak najprędzej spieszyć na pomoc Andrzejowi bo może być zapóźno.

— Jeśli tak, to w konie! — krzyknął pan Silnicki na swój oddział, który natychmiast pomknął w stronę Hordijowiec. Po drodze jaszczce rozpytywał Maksyma o różne szczegóły, a od czasu do czasu kręcił głową, i mruzczał:

— A to osobliwszy jakiś chłop. Taki biedak, a jednak nie zbywa mu na rozumie i roztropności, którejby każdy mógł mu pozazdrościć.

W Hordijowcach tymczasem wciąż trwał bój, zażarty; opryszki darli się do okien z dzikimi krzykami, a ranny świt oświecił poblądłe twarze garstki broniących się rozpaczliwie mieszkańców dworu. Rozbójnicy wpadli na myśl podpalenia dachu i rzucili płonąca maźnicę, od której pomimo spieszego ratunku czeladzi, zajęła się drewniana wieża a potem dach. Dym napełnił pokoje i nagle wśród służby rozległ się krzyk: „Pożar! Pożar!” Powstał popłoch nie do opisania, wszyscy biegali jak szaleni, nie wiedząc co począć, a z podwórza dochodziły wciąż okrzyki, wyrażające dziką radość.

Andrzej, od chwili gdy się wszczął pożar, przebiegał niespokojnie wszystkie zakątki dworu, szukając matki i sióstr, przekonany będąc, że się gdzieś ukryły. Właśnie w czasie tych poszukiwań napotkał go pan Żuk:

— Jędrzeju — rzekł, nam trzeba zebrać wszystkich ludzi i starać się przedrzeć przez tę hołotę, bo ognia niepodobna ugasić!

— Zaraz, zaraz, tylko muszę odszukać pierwszej matkę i siostry — odrzekł Andrzej niespokojnie. Nie wiem gdzie się tak ukryły!

I począł wołać:

— Tereniu! Anko!

Odpowiadało mu tylko syczenie ognia, który zaczął obejmować belki w suficie, miejscami przez szpary zaglądały już czerwone języki płomienia do pokoju.

— Gdzie one są? Co się z nimi stało? — zawołał Andrzej, który uczuł nagle jak zimny pot występuje mu na czoło.

I znów po domu rozległo się jego wołanie:

Matko! Anko! Tereniu!

— A co, czy znalazłeś je? — zapytał pan Żuk, nadbiegając. Niech idą prędzej bo niema czasu do stracenia!

— Niema ich! zginęły gdzieś bez śladu! — zawołał Andrzej z rozpaczą.

— Czyś oszalał! gdzie mogły zginąć?

— Nie wiem, szukałem ich wszędzie od piwnicy aż do strychu i nie znalazłem — odrzekł Andrzej, opierając się o ścianę, bo nogi uginały się pod nim.

— Tam do licha! — zawołał pan Żuk, zaniepokojony również. Pójdę ja poszukam, może prędzej znaję. Niepodobna przecie żeby siedziały w ukryciu i nie słyszały. W domu cały w płomieniach, kiedy już belki trzeszczą, nie długo palą, zacznie się walić!

To mówiąc, wybiegł z komnaty, która zaczęła się napełniać wonią spalenizny, podczas gdy ogniste języki wydobywały się przez szpary i już lizały sufit miejscami.

Nagle drzwi się otworzyły i wbiegł Semenکو. Na widok Andrzeja zawołał uradowany:

— Wy tutaj, paniczu, a jam was szukał wszędzie, po całym dworze. Tutaj nie można zostawać dłużej, słyszycie jak belki trzeszczą?



Gmach akademii, Szir-Dar, w Samarkandzie.

— Zostaw mnie—odrzekł Andrzej. Ratuj się sam, jeśli możesz, ja niewyjdę bez nich.

— I panicz myślą, że pani z panienkami siedziałyby gdzieś w ukryciu, kiedy dach się wali nad głową i dym dochodzi wszędzie? Chyba szalony mógłby uczynić coś podobnego...

— Więc gdzie są, co się z nimi stało? Nie mogły uciec, kiedy dwór był obsadzony.

— Ja nie wiem, mogę tylko przysiąc paniczowi, że we dworze ich niema, bo sam przeszukałem wszystkie kąty. — Chodźmy paniczu, tu śmierć grozi, ot tylko co nie wiadać jak się sufit zawali...

— Więc czemuż nie idziesz, ja cię nie zatrzymuję.

— Paniczu — rzekł prawie z płaczem Semenکو, to wy myślicie, że jabym was zostawił tutaj samych? A czy to ja was kiedy odstąpił w niebezpieczeństwie? Gdzie wy, tam i ja, już kiedy ginąć to razem z moim panem.

— Pocziwy jesteś Semenku, ale ja nie chcę, żebyś ginął przezemnie. Pójdźmy, stokróż lepiej ginąć po rycersku, z bronią w ręku.

To mówiąc, Andrzej wyszedł wraz z Semenkiem z komnaty, którą już zaczęły napełniać dym i płomienie. W ścianach spotkali się z panem Zukiem.

— Niema ich nigdzie! — zawołał tenże. Musiały chyba gdzie uciec.

— Albo się dostały w ręce zbójów! — wyrzekł Andrzej

cić nadzieję — rzekł pan Zuk. Przede wszystkim trzeba się wydobyć z tego gorejącego piekła.

— Masz wasziność słuszność — rzekł Andrzej z ponurą rezygnacją. Nie myślę też wcale rąk załamywać, ale pragnę ratować tych ludzi, którzy nam do ostatka wierni pozostali, bo o własne życie nie dbam bynajmniej...

A zwróciwszy się do ludzi, zebranych w około — zawołał:

— Dalej, rzućmy się na tę czerń zbojów; pokażemy im, że nas jeszcze nie mają w ręku, chociaż im się tak zdaje!

Otworzono drzwi, i przez nie wypadła nieliczna gromadka obrońców, mając na czele Andrzeja i pana Żuka, który krzyknął donośnym głosem:

— A trzymać się tam kąpa!

Wierny Semenکو wciąż nie odstępował od boku swego pana, starając się odbijać cięsy, ku niemu wymierzone. Opryszki otoczyli natychmiast zwartą masą i rozpoczął się bój zaciepły, w którym walczone pierściami. Trwało to już kilka minut, gdy niespodziewanie w świecie w tylnych szeregach rozbójników powstało jakieś zamieszanie; rozległy się okrzyki, na dziedzińcu wpadła gromada wieśniaków, uzbrojona w widły, cepy i drągi i rzuciła się na opryszków z taką gwałtownością, że ci w pierwszej chwili się zachwiali.

— Paniczu, toż to cała gromada Horodijowiecka wali tutaj nam na pomoc — zawołał Semenکو uradowany. Oj, oj, dobrze wywijają drągami, niema co mówić.

Na ten widok czeladź także nabrała otuchy i natarła silniej na napastników. Powstała ciżba i zamęt nie do opisania, wśród które-



Zwaliska meczetu, Bibi-Chardym, w Samarkandzie.

go obie strony zmieszały się z robą i skłębily, tak, że już nie rozróżnić nie można było.

Wśród tego zamieszania na drodze dał się słyszeć tentent, był to oddział pana Siłnickiego, który przybywał co koń wyskoczy i wpadł na dziedzińcu, jak burza. Jego nagłe ukazanie się rzuciło szaloną trwożę na opryszków; byli pewni, że to przybywa jakiś liczny oddział wojska regularnego, to też nie myśląc już wcale o stawianiu oporu, zajęci byli tylko oca-



•  
t  
o  
M

## SAMARKANDA.

ieniem siebie, przedostając się przez parkan i przez sad ku lasowi. Była to najzupełniejsza porażka, bo chłopci, rozżarci wspomnieniem krzywd, jakich doznali od bandy Szpaka, poczynającej sobie z ludnością osiadłą na wzór Tatarów, nie darowali żadnemu z łotrzyków, który wpadł w ich ręce. Po między tymi, którzy uniknęli śmierci znajdował się sam Szpak; dopadłszy konia zdołał on szczęśliwie umknąć do lasu, gdzie się wkrótce połączył z garścią niedobitków. Ponieważ reszta jego zbójckiej watahy znajdowała się w lasach niedaleko Uszycy, wraz z dwoma jeszcze innymi dowódcami hajdamackich oddziałów: Samusiem i Szulakiem, pospieszył więc do nich natychmiast, bo tam także był wysłany spory poczet jeńców, wziętych w poprzednich wyprawach. Szpak bowiem wślawił swoje imię pomiędzy ludem miejscowym tem, że handlował jak bisurmanin niewolnikami, a droga, którą słynny ten watażka pędził swoich braciów za Dniestr, nazwaną została Szpakowym szlakiem \*).

Z pomiędzy nowoprzybyłych, pierwszy Maksym zeskończył z konia, zapytując:

— A gdzie młody pan?

Tryfon, ujrawszy go, otworzył oczy ze zdziwienia:

— Maksym, a tyś skąd tu się wziął? A my myśleli żeś ty przyszedł do Szpaka, na zgubę naszą! Gotowałem się już tobie w łeb strzelić przy pierwszej sposobności.

— Nie trzeba nigdy tak prędko ludzi sądzić — odparł Maksym. Wy myśleliście że m was zdradził wtedy właśnie kiedy łamałem sobie głowę nad tem, jakby to was ratować. No, ale dosyć tej gadaniny, gdzie nasz młody pan, czy mu się nic złego nie stało? Chcę się z nim widzieć jak najprędzej.

— Nie wiem gdzie on jest; niedawno jeszcze go widziałem, kiedy gromada przysłała nam na pomoc — odrzekł Tryfon, oglądając się po podwórzu.

Ale na podwórzu panowało teraz okropne zamięszanie i zgiełk, zbierano rannych, których było kilku pomiędzy czeladzią, wynoszono trupów poza obręb dziedzińca, gaszono pożar. Maksym natknął się na pana Silnickiego, który tak jak on szukał wszędzie Andrzeja i nie mógł go znaleźć nigdzie. Obaj zaniepokojeni tem, zaczęli się pytać służby, ale nikt nie wiedział gdzie się podział, gdyż wśród wrzawy walki nie dostrzeżono wcale, że został raniony a później stracono go zupełnie z oczu.

(d. c. n.)

## KOTKI.

Kici, kici kiziusia!

A to małe pieszczołki,

W środku stara matusia

W koło dzieci jej kotki.

A jakie to figlarne;

Ten przycupnął jak trusia

Oczki błyszczą mu czarne,

Kici, kici, kiziusia!

A ten, usnął i chrapie,

Ejże, śpioszku, leniuszku,

Drugi za nim się drapie,

Coś mu mruczy przy uszku.

Tamten znowu z daleka

W szparę utkwil swe oczy,

Snać na myszkę już czeka,

Czy gdzie z kąta wyskoczy.

A w pośrodku, szczęśliwa,

Patrzy stara matusia.

Jaka mina pocziwa,

Kici, kici, kiziusia!

Pamiętacie niewątpliwie z historii postać Tamerlana, inaczej zwanego Tymur-Lang (kulawy) sławnego azyatyckiego zdobywcy z XIV wieku. Młodym jeszcze będąc, walecznością swoją taką zjednał sobie pomiędzy Tatarami więźność, że po wygaśnięciu potomków Dżengis-chana, jemu tron ofiarowano. On to znacząc swój pochod mordami, zniszczeniem, grabieżą podbiwszy kolejno Chiny, Persyę, Syryę, Indye, wyniósł Samarkandę na stolicę swego państwa, uczynił z niej ognisko oświaty i nagromadził w tem mieście przepych i bogactwa Wschodu. Najlepsze wyobrażenie o dumie potężnego władcy tatarskiego i przepychu jakim się otaczał, daje sprawozdanie posła hiszpańskiego, wysłanego na dwór Tamerlana przez króla Kastylskiego Henryka III-go, który tak opisuje przyjęcie swoje: „Po dość długiej przeprawie przez miasto, ogrody jego i rynki targowe, stanęliśmy u bramy chińskiego grodu Dł Kasza (radość serca). Dworzanie odebrali podarki przeznaczone dla Tamerlana wzięwszy pod ręce poprowadzili dalej. Brama miała złote ozdoby. Odźwierni uzbrojeni w maczugi, pilnowali, aby nikt się do niej nie zbliżał. W ogrodzie stało sześć słoni, na każdym z nich altanka z dwiema flagami, w której na wierzchu siedzieli ludzie kierujący zwierzętami, gdy te przedstawiały sztuki najróżnorodniejsze.

Przyprowadzeni nareszcie do sędziwego rycerza, siedzącego na podwyższeniu złożyliśmy mu pokłon; był to siostrzeniec Timura. Następnie stawiono nas przed siedzącymi również na wyniesieniu trzema chłopcami, wuukami Timura i zażądano przysłanego listu króla Kastylskiego. List ten wziął jeden z chłopców, syn Miran Szacha, starszego syna Timura. Wszyscy trzej chłopcy wstali, zamieśli list, wkrótce wrócili i polecili iść z sobą. Timur siedział na wzniesieniu, pod sklepieniem urządzonem przed wchodowemi drzwiami wspaniałego gmachu, opodał biła fontanna, a w niej widniały jabłka purpurowe. Chan spoczywał na jedwabnym, haftowanym materacu, opierając się łokciem o poduszkę. Szaty jego były z gładkiej, jedwabnej materii, a na głowie miał czapkę białą ozdobioną rubinem i perłami. Spostrzegłszy chana, posłowie oddali mu pokłon, przyklekając na prawe kolano, po dwóch ponownych pokłonach przystąpili bliżej i pozostali na klęczkach, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Timur polecił im więcej jeszcze się przybliżyć, chcąc ich lepiej obejrzeć, był bowiem tak stary, że z trudnością podnosił powieki. Nie pozwalając pocałować swej ręki, ponieważ to nie było u niego w zwyczaju, zapytał: Jak się miewa król, mój syn? jak mu się powodzi? — Posłowie odpowiedzieli, wyjawiając jednocześnie cel swego przybycia.

Tamerlan założył w Samarkandzie szkołę wyższą dla ludności mahometańskiej Azji środkowej. W podziemiach jego pałacu znajdował się ogromny skład rękopisów i książek w języku greckim, syryjskim, georgijskim, armeńskim, arabskim i t. p., które Tamerlan ściągtał ze wszystkich stron świata i z największą troskliwością strzedz kazał. Dziś owa stolica rozległych państw wielkiego władcy, miejsce, w którym ten zdobywca hołdy tyłu monarchów azyatyckich, poselstwa tyłu europejskich dworów odbierał, ów gród słynący handlem, przemysłem, sztukami piękniemi, bogactwem, opustoszał, zubożał, stał się po części obrazem smutnego upadku. Mimo to Samarkanda szczydzi się pamiątkami świetnej przeszłości swojej, a dużo gmachów i pomników świadczy wymownie o tej świetności dawnych wieków. Do najlepiej zachowanych budowli należy meczet z grobowcem Tamerlana z jaspisu, umieszczonym pod ogromną kopułą; obok znajdują się nagrobki jego żon, dzieci i nauczyciela. Na ten ostatni szczególnie zwracamy uwagę czytelników naszych. świadczy on bowiem jak dalece barbarzyński władca cenił naukę i umiał być wdzięcznym temu, który mu ułatwił jej nabycie.

Obecnie miasto składa się z dwóch dzielnic: nowej Samarkandy, o wiorstę od starego grodu odległej, będącej sie-

\*) Historyczne.

dzibą przemieszkujących tu Europejczyków i odpowiednio do ich potrzeb i wymagań zbudowanej, oraz starej, Samarkandy zaludnionej przez krajowców, z pięknymi zwaliskami, zabytkiem przeszłej okazałości starożytnego miasta; środek tej dzielnicy zajmuje wielki plac zwany Rigistan, główne miejsce spacerów, zabaw i handlu. Z trzech stron otaczają go emaliowane ściany wspaniałych akademii duchownych muzułmańskich.

Gmach jednej z tych akademii: Szir-Dar, przedstawiony na naszej rycinie. Zwracają także uwagę podróżnych zwaliska meczetu Bibi-Chanym, tak zwanego od imienia jednej z żon Tamerlana, a będącego niegdyś jedną z najwspanialszych świątyń mahometańskich. Na północno wschodniej stronie za miastem wznosi się piękny meczet Szach-Zinde (śpiący władca), do którego przywiązane podanie, że święty, spoczywający w jego podziemiu, gdy się przebudzi, świat cały nawróci na wiarę mahometańską.

W dni targowe, w niedziele i środy na Rigistanie ruch panuje wśród kupców załatwiających transakcje handlowe; za to dzielnice zamieszkałe przez kobiety i dzieci wiecznie ciche, jakby pustkami stojące; kobiety bowiem rzadko kiedy wychodzą na ulicę i ukrywają się starannie przed oczyma obcych przybyszów. Mężczyźni żyją prawie ciągle poza domem, prowadząc z przebiegłością właściwą mieszkańcom Wschodu, spekulacje handlowe. Stosunki z Europejczykami udzielają im do pewnego stopnia oglądy towarzyskiej i zbliżać ich będą coraz więcej do cywilizacji naszej części świata, po przeprowadzeniu bowiem kolei Zakaspiskiej, Samarkanda stała się głównym punktem handlowym między Rosją europejską i Turkestanem. W skutek tego, miasto w ostatnich czasach podniosło się, ożywiło i zabudowało, a malownicze położenie i cudowna roślinność ogrodów samarkandzkich z dalszych nawet stron ściągają niekiedy turystów.

## GFINKS LODOWY,

przez

JULIUSZA YERNE'A,

przekład M. D.

(Dalszy ciąg)

### Co począć?

W niemem osłupieniu staliśmy wszyscy.

A więc z naszego żaglowca, z naszego Halbranu nie zostało nam nic, nie zgoła!... Przed chwilą jeszcze wzniesiony na przeszło sto stóp w górę, spoczywać ma już teraz na pięćset stóp w głębi morskiej!...

Po pierwszym okrzyku przerażenia, nastąpiło głucho, grobowe milczenie. Jak skamieniali, jak wryci, martwym wzrokiem wodzyliśmy dokoła, nie chcąc dać wiary temu na co własnymi patrzyliśmy oczami. Tylko po twarzy Jem Westa, stojącego obok mnie, stoczyła się powoli cicha łza serdecznego żalu. Tak jest, ten człowiek żelaznej wytrwałości i siły charakteru, zapłakał nad nieszczęściem, które nas dotknęło, które zgubiło ukochany przez statek.

I znowu trzech ludzi zabitych! Widziałem Rogera i Gratiana, naszych wiernych starych, wyciągających rozpaczliwie ramiona ku nam, jakby wzywali pomocy... A ten młody Amerykanin, którego ciało przedstawiało już tylko bezkształtną bryłę!...

Ach, zaprawdę, los sprzyjający nam dotychczas wyjątkowo, strasznej zażądał od nas daniny, przez te ostatnie dni dziesięć!

Gdy minęły pierwsze chwile niemego przerażenia, powstało wśród załogi nieopisane zamieszanie. Krzyk rozpacz i gniewu rozsadał wszystkim piersi. Każdy zrozumiał, że tym razem nieszczęście było nie do powetowania.

I niewątpliwie znalazło się wielu, którzy byliby chętnie podzielili los Rogera i Gratiana. Dla tamtych przynajmniej wszystko odrazu się skończyło, gdy dla pozostałych rozpoczyna się dopiero ciężkie dni powolnego konania.

Wreszcie pod wpływem naturalnej dążności szukania jakiegokolwiek ratunku, zaczęto wolać:

— Na łódź! na łódź!

Wprawdzie Hearn trzymał się z daleka, udając, że nie bierze w tem żadnego udziału, wszakże towarzysze jego z Falklandów, byli najgłośniejszymi.

Posłyszawszy to Len Guy i Jem West wybiegli z namiotu, do którego co dopiero weszli. Przystąpiłem do nich wraz z bosmanem. Byliśmy uzbrojeni i zdecydowani do użycia broni. Jakikolwiek przedstawiałyby się okoliczności, nie można przecież było tym zażencom dozwolić opanowania łodzi. Ona nie powinna żadną miarą stać się własnością kilku, będąc jedynym ratunkiem dla wszystkich.

— Stójcie! stójcie! — wołał Len Guy do biegnących w stronę groty z ukrytą łodzią.

— Wróćcie się natychmiast! — krzyknął z całych sił porucznik — albo strzelę do pierwszego, który choć krok jeden pójdzie dalej!...

Obadwaj trzymali w ręku pistolety, bosman złożył swój karabin, ja również zdjąłem z ramienia strzelbę.

Próżną jednak była wszelka groźba. Szaleńcy ci nie chcieli nas słuchać. Gdy więc jeden z nich przekraczał już ostatnią bryłę lodowca oddzielającą go od groty, Jem West dał ognia, i kula jego pistoletu powaliła buntownika. Upadające ciało nie zdążyło utrzymać się na wyżynie, a staczając się po stromem brzegu, runęło do morza.

— Czyż na domiar zła wszelakiego, rozpocznie się teraz mord wzajemny? — pomyślałem ze zgrozą. — Cóż będzie jeżeli ci szaleńcy nie ustąpią, a może jeszcze starzy z Halbranu przyłączą się do buntowników?...

Nie mogło bowiem ujść mej uwagi, że Hardie, Marcin Holt, Francis, Barry i Stern zdawali się namyślać po czyjej stronie, podczas gdy Hearne niby obojętny zatrzymał się w tyle.

Jedna więc tylko pozostała nam bezwzględna stanowczość, jedynie ona mogła stłumić bunt w samym jego zarodku. Bo trudno rządzić się sercem tam, gdzie pijani dziką rozpaczą ludzie, nie obliczając skutków, nie zważając nawet na śmierć jednego ze swoich, cisnęli się dalej, i już, już opanować mieli grotę.

Bosman dał ognia i drugi marynarz legł martwy z przebitym sercem.

Jeden zatem Amerykanin i jeden Fugijczyk, padli już ofiarą swego szaleństwa. Czy będzie koniec temu? Czyż koniecznie ma się lać krew wśród tych, którzy raczej wzajemną sobie pomocą być winni!

Aż nagle ukazuje się u łodzi barczysta postać Petersa, który nadbiegł okalając z drugiej strony lodowiec.

Metys jedną olbrzymią swą ręką oparł na łodzi, drugą wskazywał odwrót nacierającym buntownikom.

Gdy jednak gest ten pozostał zda się niezrozumianym, skoczył ku nim ze zwinnością sobie właściwą, uchwycił w pas najbliższego, wywinął nim w powietrzu niby lekkim drążkiem i rzucił gwałtownie na ziemię. Upadek był tak silny, że pozbawiony przytomności, byłby niezawodnie stoczył się na dół, gdyby Hearne jednym skokiem nie podążył go zatrzymać. Za wiele już stracił ze swoich, aby obojętnie mógł patrzeć na śmierć jeszcze jednego.

Po takim wmięszaniu się metysa do sprawy, buntownicy uciszili się prawie natychmiast; zdawało się, iż fizyczna siła Petersa zaimponowała wszystkim.

Korzystając z tego podeszliśmy do samego wejścia groty, gdy równocześnie też starzy marynarze Halbranu stanęli po naszej stronie.

Wszakże mimo wszystkiego tamci przewyższali nas jeszcze liczebnie. Len Guy wystąpił naprzód z iskrzącym od gniewu wzrokiem, za nim stanął Jem West, jak zawsze surowo spokojny. Przez kilka chwil kapitan miotany silnym wzruszeniem, nie mógł wydobyć głosu, wzrok jego wszakże wymowniejszy był od słowa.

— Nędznicy! — zawołał wreszcie — zasługujecie bym się z wami obszedł jak ze złoczyńcami, wołę przecież uważać was za nieszcześliwych, którzy nie zdają sobie sprawy z tego, co czynią. Chciejcie zrozumieć! Łódź ta nie może być własnością jednych, ona należy do wszystkich, jako jedyny obecnie nasz środek ocalenia. A wyście ją chcieli skraść, przywłaszczyć ją sobie przemocą! Pamiętajcie co wam mówię raz ostatni: ta łódź znaczy dla nas obecnie tyle, co cały Halbran, ja jestem jej kapitanem, i biada nieposłusznym!..

Tu kapitan zwrócił wymowne spojrzenie na Hearna, który jakkolwiek w tym wypadku otwarcie nie był czynnym, musiał się jednak poczuwać do winy, skoro mimowoli pochylił głowę.

— A teraz — zagrział w końcu donośnym głosem Len Guy — wróćcie w porządku do obozu, łódź powierzam straży Dick Petersa!..

Bez najmniejszego oporu wróciła załoga na dół, gdzie nie mając już koniecznego zajęcia, jedni rzucili się w namiotach niedbale na posłania, drudzy, dla zabicia czasu, rozszedli się po okolicy.

Zażegnanie chwilowo buntu, nie zmieniło wszakże fatalności położenia. Brak celu i zajęcia wpływa zawsze demoralizująco na umysł człowieka, a nam nie stało obecnie ani jednego ani drugiego. Pustka i bezczynność, Bóg wie na jak długo, stanęły niby widma przed nami. I czegoż dobrego można się było w końcu spodziewać od tych ludzi bez podstaw i wykształcenia, gdy nawet inteligentne umysły opanować w końcu mogła czarna rozpacz?..

To też kapitan z porucznikiem i bosmanem złożyli znów naradę. Przyłączyłem się do nich właśnie gdy Len Guy mówił:

— W imię wspólnego dobra broniliśmy łodzi i bronić jej będziemy.

— Z narażeniem życia nie oddamy jej! — potwierdził Jem West.

— Kto wie zresztą — zauważyłem — czy okoliczności nie zmuszą nas niezadługo do szukania na niej bezpieczeństwa...

— W takim razie — odparł kapitan — ponieważ łódź jest za małą, byśmy się wszyscy mogli w niej pomieścić, jedynie losowi musielibyśmy zostawić wybór. Co do mnie, podaję się pod prawa ogólne.

— Tak źle jeszcze nie jest — zawołał bosman — lodowiec trzyma się mocno i nie grozi nam też stopnieniem przed zimą.

— Nie — potwierdził Jem West — tego nie potrzebujemy się obawiać. Jeżeli wszakże konieczną jest straż przy łodzi, należy ją również postawić przy składzie z żywnością.

— W całym tem nieszcześnie, choć to jedno jest dobre, że ładunek nasz ocalał. Boże mój, toż mi się w głowie pomieścić nie chce, że nasz Halbran jest tam, w głębi morskiej, że go spotkał los starszego jego brata Oriona!..

— Tak niezawodnie — pomyślałem — los równy, choć wywołany różnemi przyczynami, bo gdy tamtego zniszczyła dzika ręka krajołców wyspy Tsalal, ten padł ofiarą jednej z tych katastrof, których żadna potęga ludzka powstrzymać nie jest w stanie.

— Masz słuszność Jem — rzekł tymczasem kapitan — nie możemy zostawiać zapasów naszych na łasce tych ludzi, którzy łatwo zabrać się mogą do rabunku. Żywności jest tyle, że wystarczyć powinna choćby na rok cały, nie licząc już co dać może rybołówstwo.

Opieką nad tem zdaje mi się tem konieczniejszą, kapitanie, że już widziałem ludzi skradających się do beczek z piwem i whisky — zauważył bosman.

— Toż dopiero byłoby nieszcześnie — zawołałem —

gdyby się ci ludzie popili. Do jakich scen okropnych dojść by wtenczas mogło!..

— Już ja ich utrzymam w należyтым porządku! — zapewnił porucznik.

— Zdaje mi się — rzekłem — iż trzeba również rozpatrzyć warunki przezimowania na tym lodowcu, na którym może nam przyjdzie spędzić całą zimą.

— Niech nas Bóg ochroni od tak strasznej konieczności — zawołał Len Guy.

— A choćby też i to nas czekało, panie Jeorling — wtrącił bosman — urządzi się to jakoś z pomocą nieba. Przedewszystkiem wykulibyśmy sobie groty w samym lodowcu, aby się zabezpieczyć od zbyt nich mrozów tej zimy podbiegunowej, i póki nam żywności starczy, jeszcze najgorsze nie nadeszło.

W tej chwili przypomniałem sobie znowu owe niewypowiedziane męczarnie głodowe, które przeszli ludzie na Grampiusie, owe dzikie, wstrętne sceny, które były ich następstwem. Czyżby wśród nas miało przyjść kiedy do podobnych ostateczności?!.. Pod wpływem tych wrażeń sądziłem, iż zanimbyśmy się zabrali do urządzenia tu na dłuższy pobyt, lepiej byłoby wcześniej opuścić lodowiec. Oczywiście rozwiązanie tej kwestyi wymagało szczegółowego rozpatrzenia warunków. To też Len Guy dłuższy czas siedział milczący, po czem rzekł:

— Niezawodnie byłoby to najlepsze ze wszystkiego co nam pozostaje, i gdyby tylko łódź mogła nas wszystkich pomieścić wraz z potrzebną żywnością, na kilka zapewne tygodni w tej podróży ku północy, dziś zaraz puściłbym się na morze.

— Ależ kapitanie — zawołałem — musielibyśmy tam płynąć zarówno przeciw prądowi jak kierunkowi wiatru, a sądzę, że niema się co łudzić, aby łódź nasza mogła wytrzymać podobne warunki, skoro takiemu żaglowcowi jak Halbran, przyszłoby to z pewnością z niemałym trudem. Nie północ też miałem na myśli, lecz południe..

— Południe? — powtórzył kapitan i spojrzał na mnie bystro, jakby chciał przejrzeć do głębi moją duszę.

— Dla czegożby nie — odpowiedziałem spokojnie. — Gdyby lodowiec ten nie był się zatrzymał, dopłynąłby z pewnością do jakiejś ziemi w tymże kierunku; czego więc on nie uczynił, łódź nasza uczynić może.

Kapitan za całą odpowiedź wstrząsnął głową, Jem West również nie rzekł ani słowa.

— Lodowiec nasz prędzej czy później podniesie kotwicę — zawołał Hurliguerly, boć to nie Kerguelen ani Falklandy trzymające się mocno dna morskiego! Najbezpieczniejszą więc rzeczą jest czekać tu, gdy wszyscy w żaden sposób zabrać się nie możemy.

— Ale na cóż zaraz wszystkim jechać — rzekłem — wystarczyłoby w łodzi kilku ludzi na zwiedzenie morza w jakimś piętnastomilowym obrębie, oczywiście w stronie południowej.

— Zawsze w stronie południowej? — powtórzył z naciśnięciem Len Guy.

— Bez wątpienia, kapitanie, przecież znanym ci jest domysł geografów, że u biegunów osi ziemskiej, lądy stałe znajdować się muszą najniezawodniej.

— Geografowie nie wiedzą nic o tem, i wiedzieć nie mogą — odparł zimno porucznik.

— Tem więcej żałować należy, iż my nie probujemy rozwiązać tej kwestyi, znajdując się tak blisko owego punktu — odpowiedziałem, niby obojętnie, uważając za niestosowne silniejsze naleganie, tym więcej, że rozdzielenie byłoby rzeczą bardzo nieszczęśliwą. Cóż bowiem upewniało nas, iż lodowiec długo jeszcze pozostanie na miejscu? A jakże go później odszukać, jak się połączyć?..

— Jest nas obecnie 23 — rzekł bosman — gdyby więc przyszło ciągnąć losy, jedenastu musiałoby tu zostać, i doprawdy nie wiem, czy szczęśliwszymi byłiby ci, którzy zajęli łódź. A wątpię o tem do tego stopnia, iż ustąpiłbym tam chętnie mego miejsca każdemu, któryby zechciał..



Kto wie czy bosman nie sądził trafnie, jakkolwiek nie myślałem nigdy o stanowczym rozłączeniu, lecz tylko o wysłaniu łodzi na zwiady.

Wreszcie po długich rozprawach udecydowanem zostało, że przygotować się trzeba do przezimowania na lodowcu, konieczność, nawet w razie, gdyby tenże ruszył z miejsca.

— Obawiam się znowu przykrego zajścia z naszymi ludźmi — zauważył Hurliguerly — ale cóż robić, niedarmo mus jest największym panem na świecie.

— Niezawodnie — odpowiedział porucznik — dla tego trzeba nam dziś jeszcze zabrać się do tej pracy.

Smutnym dla wszystkich był ten dzień. Jeden tylko Endirot nie wywodził skarg, nie buntował się przeciw położeniu. Czy wpływało to z właściwego charakteru murzyna, naginającego się łatwo do wszelkich zmian, czy też posiadał on tę nieocenioną filozofię życia, właściwą prostym umysłem ludzi zrodzonych w trudnych warunkach bytu.

— Obaczysz, Hurliguerly! I na tym lodowcu, będę wam przysposabiał potrawy równie smaczne, jak dawniej na Halbranie, bylebym tylko miał z czego! — rzekł ten poczciwiec ukazując w szczerym śmiechu szereg białych swych zębów.

— Już to materyału nie zabraknie ci pewnie i nie głód nam tu grozi, lecz zimno, zimno takie, mówię ci, że krew tężeje w żyłach i czaszka pęka na mózgu!... Gdybyśmy mieli jeszcze setki beczek węgla, ale po ściśłem obliczeniu wystarczy zaledwie na codzienne zagotowanie garnka...

— I tego ruszyć nie wolno nikomu — zawołał Endirot — kuchnia przedewszystkiem!

— To ty przebrzydły murzynie dla tego się nie skarżysz, żeś pewny, iż bądź co bądź ogrzejesz zawsze swoje łapy u kowina!...

— Cóż chcesz, bosmanie, nie darmo jest się kucharzem! Dla ciebie jednak znajdzie się zawsze kątek u tego pieca...

— Dobrze, dobrze, dla każdego po kolei, niema żadnego wyjątku nawet dla bosmana! Już to najważniejsza rzecz, gdy nam głód nie grozi, bo od ziarna przecież jakoś da się zabezpieczyć. Wydrążymy sobie wielką grotę, która pomieści nas wszystkich, a słyszałem, jako rzecz pewną, że lód zachowuje ciepło; to i nie przemarniamy z Bożą pomocą.

Gdy nadeszła zwykła godzina spoczynku, wrócili wszyscy do obozowiska i każdy legł na swym pościelaniu. Peters tylko stosownie do swej prośby pozostał przy łodzi.

Dopiero przekonawszy się, że wszystko jest w porządku, że mianowicie Hearne i jego towarzysze posnęli, udał się też kapitan z porucznikiem do swego namiotu, gdzie i ja niebawem się znalazłem, i wkrótce sen dobroczyunny ukoił nasze troski. Aż nagle przebudziło nas znowu gwałtowne wstrząśnienie.

Czyżby lodowiec miał powtórnego wywinąć koziołka — pomyślałem, zrywając się z przerażeniem na równe nogi.

W jednej sekundzie byliśmy wszyscy przed namiotami i przy jasności nieustającego dnia podbiegunowego, przekonaliśmy się, iż w skutek potrącenia przez inną płynącą górę lodową, nasza, jak się wyraził bosman, podniosła kotwicę, i ruszyła z miejsca w kierunku południowym.

## Przywidzenia.

Tak więc najniespodziewaniej nastąpiła zmiana. Czy jednak skutki jej okazały się pożądane, niepodobiestwem było nam przewidzieć. To też po pierwszym wybuchu radości nowe niepokoje opanowały serca nasze. Jeden tylko Dick Peters cieszył się zapewne, że płynie znów drogą, na której spodziewał się odnaleźć swego Pryma. Dla kapitana wszakże, któremu obowiązek względem załogi nakazywał powrócić na północ, przymusowe dążenie ku południowi, było bolesnym faktem. Przezimowanie w tych stronach stało się więc nieuniknionem, nie tam bowiem gdzieśmy zdążyli leżały ziemie Orkneyów, Nowej Georgii lub Sandwich, w pobliżu których okręty rybackie mogły nas zabrać z lodowca.

Tymczasem przy silnym wstrząśnieniu, tysiące przedmiotów stoczyło się znów do morza. Szczęściem nie były to rzeczy niezbędne, a nawet prawie zupełnie nam już zbędne, jak: kotwica, maszty, łańcuchy, część żagli i t. p., gdyż dzięki pracy dnia poprzedniego, najcenniejsze teraz zapasy żywności i ubrania, umieszczono w obszernej grocie, wyszukanej przez bosmana, skąd dla wąskiego wejścia wysunąć się nie mogły.

W ciągu dnia stwierdził kapitan, że lodowiec nasz podążał wraz z wielu innemi ku południo-wschodowi; kierunek przeto prądu unoszącego nas z szybkością dwóch mil na godzinę, pozostał tenże sam co dawniej, a ta trwałość jego począwszy już od zapory lodowej poddawała wiele domysłów. Przedewszystkiem ląd istnieć tam musiał koniecznie i był albo tak mały, że prąd obejmował go niby pierścieniem, albo też rozdzielony szeroką cieśniną dawał ujście zarówno tej masie wody jak lodowcom, które unosiła z sobą.

— Wiem na pewno to jedno tylko — rzekł bosman, którego zagadnąłem w tej chwili — że jeżeli prąd przechodzi biegun i my go teraz przejdziemy, jeżeli zaś nie przechodzi, to i my nie przejdziemy... Nie jesteście już obecnie swobodnymi żeglarzami, nie możemy zwrócić się, gdzie nam się podoba. Bo lodowiec to nie statek żaden, nie ma on ani żagli ani steru...

— Przyznaję ci zupełną słuszność, Hurliguerly, dla tego też miałem myśl, aby kilku z nas wsiadłszy do łodzi...

— Zawsze jeszcze to samo, tak panu na tem zależy?... —

— Bez wątpienia, bo jeśli w pobliżu znajduje się ziemia, możebnem jest, że ludzie z Oriona...

— Wiem, wiem już czego się pan spodziewasz! — przerwał mi bosman — ale czy obliczyłeś pan odległość? Cztery-sta mil od Tsalal to nie żarty! A bierz pan na uwagę lichą tylko kłodź, jaką tamci mieć mogli...

— O niczem stanowczo nie wątpię, dzieją się rzeczy nieraz wprost niemożliwe...

— Nie będę się też sprzeczał z panem, chociaż sędzę, że pozostaje nam jeszcze dość czasu omówić tę kwestyę, gdy się już raz owa ziemia ukaże. Wtenczas kapitan robi co będzie uważał za stosowne licząc, iż nie wiele mamy czasu do stracenia. Co do mnie wszystko mi jedno, czy lodowiec poniesie nas w stronę Falklandów, czy Kerguelen, czy też w przeciwnym kierunku, bylebyśmy tylko przed zimą wydostali się na drugą stronę zapory lodowej.

Przyznać musiałem, że zdrowy rozsądek dyktował te słowa bosmanowi, a jednak, gdy załoga pracowała około przygotowań na dłuższy nasz pobyt na lodowcu, wchodząc często na najwyższy szczyt jego, by z lunetą w rękę rozpatrywać okolicę. Z miejsca tego, jako z wysokości 150 stóp nad poziomem morza, wzrok mój uzbrojony w szklę, obejmował obszar 12 mil naokoło. Próżno wszakże szukałem ciemniejszych falistych linii lądu na najdalszym horyzoncie.

Kilka razy przyszedł tam również kapitan dla dokładnego wymiaru położenia, które też 30 stycznia wykazało 67° 19' długości zachodniej, a 89° 21' szerokości, skąd wniosek, że podczas gdy prąd odrzucił nas o 24 stopnie ku wschodowi, zbliżył równocześnie na jakieś 40 mil zaledwie od bieguna południowego.

Spokój i uległość z jaką załoga oddawała się pracy pozwalała nam nieco ufniej spojrzeć w przyszłość, i póty przynajmniej póki lodowiec był w ruchu, nie było potrzeby lękać się nowych buntów; któż wszakże mógł zaręczyć za to, co by nastąpiło, gdybyśmy znowu osiedli na morzu, lub zatrzymali się choćby u jakiego lądu?

Gdym znowu dnia tego w poobiedniej porze zajął zwykły mój punkt obserwacyjny, na wierzchołku naszej góry, ujrzałem podążającego, w tę stronę metysa.

— Zapewne — pomyślałem — pragnie i on objąć swym bystrym wzrokiem daleką przestrzeń, spodziewając się znaleźć oczekiwaną ziemię, a może też sprowadza go znów chęć rozmowy z mną, chociaż od chwili katastrofy zamieniliśmy zaledwie pare słów obojętnych.

## Z DALSZEGO ŚWIATA.

Tymczasem metys doszedłszy do szczytu powiódł okiem dokoła, poczem zamyślony czy zakłopotany, stał dłuższą chwilę milejąc, tak, iż sądziłem już, że nie spostrzegł mnie nawet.

— Panie Jeorling — rzekł wreszcie, przerywając milczenie — czy przypominasz pan sobie to o czem mówiłem wtenczas w kajucie Halbranu?... Chciej mię pan zrozumieć, o tej sprawie, tak jest, o tem co się działo na Grampiusie.

— Czyżbym to kiedy mógł zapomnieć! — pomyślałem.

— Ja wtenczas zwierzyłem się panu — mówił dalej Peters — że Parker nie był Parkerem, że nazywał się Ned Holtem... że był bratem Marcina Holta.

— Wiem, Petersie, wiem dobrze! Ale czemu powracasz do tych smutnych wypadków?

— Czemu? Jabyłem chciał wiedzieć... Prawda, pan nigdy o tem do nikogo nie wspomniał?

— Nigdy, do nikogo! — rzekłem z siłą — bo i jakże, pomyśl tylko sam, mógłbym taką nieostrożność, taką nierzeczność popełnić? Bądź spokojny, jest to między nami tajemnica, która pójdzie ze mną do grobu.

— A jednak — rzekł metys zniżając głos do szeptu prawie, mnie się zdaje, niech mię pan zrozumie, ja posądzam, że załoga wie coś o tem.

Słowa te przypomniały mi powtórzoną przez bosmana rozmowę Hearn'a z Marcinem Holtem. Czyby rzeczywiście nikczemny ten człowiek miał wiedzieć cośkolwiek, czy tylko wpadł na taki domysł, by podburzać załogę przeciw metysowi.

— Wytłomacz się jasno, co masz na myśli — rzekłem do Petersa.

— Niech mię pan zrozumie, ja nie umiem tego dobrze wypowiedzieć, ale wczoraj, tak wczoraj — ciągle myślę teraz o tem. — Bo widzi pan, wczoraj Marcin Holt pociągnął mię na stronę, daleko od drugich, chciał ze mną mówić.

— No i cóż? — zapytałem żywo.

— Chciej mię pan zrozumieć, on wymówił to imię, imię tego, którego ja... A jednak płyniemy już całe trzy miesiące razem i dopiero pierwszy raz, dla czego?... Niech mię pan zrozumie — powtarzał w kółko nieszczęśliwy Peters w swem najwyższem zakłopotaniu tak cicho, że zaledwie go dosłyszeć mogłem.

— I widzi pan — ciągnął dalej po chwili — mnie się zdawało, że w jego głowie, tak, ja się nie mylę, on mnie posądza bezwątpienia...

— Powiedźże mi jednak, o co cię właściwie pytał Marcin Holt?

— O co mię pytał? Ależ o brata swego, tak, pytał, czy go pamiętam na Grampiusie, czy on zginął tam w czasie buntu, czy też inną jaką śmiercią... czy... czy... Silne wzruszenie zdawało się dławić metysa.

— A cóż ty na to odpowiedziałeś?

— Nic... nic!...

— Mogłeś przecie wytłomaczyć, że Net Holt zatonął wraz z okrętem.

(d. c. n.)

Święto chryzantemów. — Jaskółki. — Wezuwiusz zaczyna być niespokojny. — Chinka doktorem.

Święto chryzantemów odbyło się, jak zwykle, w listopadzie w Japonii. Państwo mikada obchodzi corocznie dwa takie święta kwiatowe — święto wiśni w kwietniu i chryzantemów w listopadzie. W Yeddo, w pałacu cesarskim, odbywa się wystawa najpiękniejszych okazów tego kwiatu, nadsyłanych z różnych stron świata.

Włoski porucznik maryarki, Vannutelli, jeden z dwóch ocalonych członków wyprawy Bottego, wymordowanej w Afryce — powiada, że gdy wyprawa znajdowała się tam, ubiegłej zimy — w okolicach jezior Stefanii, Rudolfa i królowej Małgorzaty, widział całe stada jaskółek, szybujące nad wybrzeżami, gdzie, dzięki bujnej roślinności i obfitości owadów, miały aż nadto pożywienia. Gniazd tam nie miały, co jest naturalnem wobec tego, że budują je sobie w Europie.

Dzienniki zagraniczne donoszą, że obecnie Wezuwiusz zaczyna być niespokojny. Strumienie lawy i deszcz popiołu spadają na stoki góry. Ostatni wielki wybuch Wezuwiusza zdarzył się w roku 1872 w kwietniu. Wówczas stożek góry pękł od strony północnej, a krater wyrzucił żuźle, kamienie i popiół na wysokość 1,300 metrów. Podziemny grzmot, towarzyszący tym zjawiskom, podobny był do huku tysięcy armat. Wówczas kilku nieostrożnych turystów padło ofiarą swjej nieogłędności, a lawa rozdzieliła się na dwa ramiona, z których jedno zniszczyło grunta okoliczne, drugie zaś przepłynęło między Massa i San Sebastiano, sprawiając w tych miasteczkach znaczne zniszczenia. Lawa płynęła wtedy wolno, przebywszy przestrzeń pięciu kilometrów w trzynastu godzinach. Przez kilka dni Neapol ucierpiał wiele od deszczu popiołu, niebo było ołowiano szare, a światło dzienne tak słabe, jak o zmroku. Prawdopodobnie i tym razem przyjdzie do silniejszego wybuchu. Najsilniejszy wybuch Wezuwiusza wydarzył się w bieżącym stuleciu w r. 1822. Historia zaś zaznacza, oprócz wybuchu, który w r. 79 naszej ery zniszczył Pompeję bardzo silne wybuchy Wezuwiusza w latach: 203, 475, 512, 685, 982, 1036, 1138, 1631, i 1794.

Wicekról chiński mianował obecnie swoim pierwszym doktorem Chinę, pannę Hu-King Eng, która ukończyła wyższą szkołę lekarską w Ameryce. Była ona już przedtem asystentką szpitala kobiecego w swem mieście rodzinnem w Tow-Chow a zarazem misyonarką, gdyż oddawna przyjęła wiarę chrześcijańską. Na kongresie doktorek, odbyć się mającym w roku przyszłym w Londynie, panna Eng będzie jedyną delegatką z Chin. Okazuje ona gorliwość wielką i zręczność w swym zawodzie.

Do numeru niniejszego dołącza się Prospekt Wieczorów Rodziny na rok 1898.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Rocznie w Austrii 10 koron, w Prusach marek 10; — stosownie do tego półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TRZEŚĆ: Przed setną rocznicą (z portretem). — W wiejskiej zagrodzie przez Maryę Łopuszańską. — Kotki, wiersz (z ryc.) — Samarkanda (z ryc.) — Sfinks lodowy, Juliusza Verne'a, przekład M. D. — Z dalszego świata. — Dodatek: Modlitewka, wiersz (z ryc.) przez Maryę S. — Podarek Syreny. — U cioci Polci. — Spełnione przyrzeczenie. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

# WIECZORY RODZINNE



## Modlitwka.

Za to, że grzeczną Helenka była  
Kochała swoją matczkę  
Nigdy jej niczem nie zasmuciła,  
Dostała ładną książeczkę.  
Małą książeczkę z modlitwkami  
Oprawną w piękne okładki,  
Brzegi złocone i z obrazkami,  
Miła pamiątka od matki.  
A że umiała czytać Helenka  
Dosyć już wprawnie i gładko,  
Jak każda również pilna panienska  
Więc poszła na mszę raz z matką.  
Cudny był ranek, chociaż jesienny,  
Słoneczko jasno świeciło,  
I blask przez okna słało promienny  
Święte obrazy złoociło.  
A tam się do niej z ołtarza śmiały,  
Skrzydlate aniołki małe,  
Co to sukienki srebrzyste miały,  
A w rączkach lilije białe.  
Helenka słała prośby do Boga,  
Za zdrowie ojca i matki,

To za sierotki, którym śmierć sroga,  
Zabrała szczęście z ich chatki.  
To za tych biednych, którym nie staje,  
Na suchy kawałek chleba,  
Dłoń im litosna jałmużnę daje.  
I tak śląc modły do Boga,  
Helcia podobną aniołom była,  
Którym się niebo otwiera,  
Bo zawsze Bogu bardzo jest miła  
Modlitwa dziecięcia szczerza.

Maryja S.

## PODAREK SYRENY.

Janek, Józio, i Marynia nie wiedzieli co robić z nowym talarem srebrnym, otrzymanym od dziadunia; każdy z nich co innego chciało kupować, aż przyszło między rodzeństwem do sprzeczki, a że ich nauczycielka p. Łucy sprzeczek nie lubiła, kazała więc dzieciom wybierać się zaraz na przechadzkę nad morze; bawili bowiem wówczas w Sobotach pod Gdańskiem, gdzie czas wakacji letni przepędzali przyjemnie i wesoło. Lubili bardzo chodzić nad morze, tam zbierali drobne muszelki, z których potem układali niby groty, skały, wieże i t. p. Tym ich zabawom przypatrywała się ciekawie siedząca zwykle na piasku na wybrzeżu mała Kasia, córka ubogich rybaków. Biedna dziewczynka była chorą na nóżki, nie mogła biegać i bawić się z innymi dziećmi, a widząc ich gry i uciechę, nieraz wzdychała smutnie. Słyszała ona od swojej babci, która dla rozrywki chorej wnuczki opowiadała jej cudowne bajki, że w głębi morza żyją osobliwe boginie nadobne panienki, pół ryby, zwane Syrenami i że one biednym chorym dzieciom znoszą czasem perłowe muszelki, a niekiedy nawet świecące pieniążki, ze srebrzystej piany morskiej. Kasia pragnęła zapoznać się z tą cudowną boginią, a że sama nie mogła chodzić, prosiła ojca, aby ją zaniósł nad morze i tam z oczami utkwionem w głębię wód morskich, wyczekiwała, czy litościwa syrena do niej nie przyplynie, bo właśnie potrzebowała bardzo ciepłych trzewiczków.

Tego dnia, kiedy Janek, Józio i Marynia po owej sprzeczce o talara, przyszli na wybrzeże, towarzysząca im nauczycielka spostrzegłszy smutną twarzyczkę i zażawione oczki Kasi, zbliżyła się do dziewczynki i zapytała co jej dolega?

— Smutno mi — odrzekła Kasia — że nie mogę biegać i bawić się jak tamte dzieci, co z panią przyszły, co mają takie śliczne złote włoski i takie ładne niebieskie płaszczki na sobie. Czy te ubrania podarowała im syrena? Jaby tak chciała dostać od niej nowe buciki, bo mi babcia mówiła, że ona grzecznym dzieciom rozdaje podar-

, ale chociaż już tyle dni na nią wyglądem, nie chce spojrzeć do mnie z głębi wody.

Panna Łucya uśmiechnęła się łagodnie, pogładziła dziewczynkę po twarzy i po chwili przyprowadziła do niej swoich małych wychowanków. Dzieciom żal się zrobiło biednej Kasi; zaczęły znosić jej muszelki do zabawy, jak, że po chwili miała ich pełen fartuszek, a najstarszy najsiłniejszy Janek wyrwał nawet całą kępę rosnącej nad brzegiem trawy morskiej i złożył ją u nóg chorej dziewczynki.

— Już wiem co zrobię z pieniędzmi od dziadzi — powiedziała się Marynia, idąc do domu — oddam je Kasi, żeby miała za co kupić sobie trzewiczki.

— Ja to samo zrobię — zawołał Józio.

— No, to ja także dla niej moje pieniądze ofiaruję — powiedział Janek.

Nauczycielka pochwaliła dzieci za ich dobre serduszka i opowiedziała im o niedorzecznym wyobrażeniu małej dziewczynki, która bajeczną syrenę poczytywała za żyjącą istotę i spodziewała się od niej otrzymać potrzebne na upiórno trzewików pieniądze.

— To musimy jej figła wypłatać — zawołał ucieszony myślą swoją Janek — podsunie my jej tak nieznacznie naszego talara, żeby mogła sądzić, iż go jej przyniosła cudowna bogini.

Figiel udał się doskonale, kiedy nazajutrz dzieci znowy przysły z panną Łucyą na wybrzeże, z małą Kasie śpiącą, z główką o słup latarni nadmorskiej opartą. Coprędzej tedy zajęli się wykonaniem obmyślanego planu; wyszukali ładnej, płaskiej muszelki, włożyli na nią świecącego talara i wsunęli ostrożnie w rękę śpiącej dziewczynce, potem usunęli się na bok, aby z daleka widzieć jakie wrażenie za przebudzeniem dar ich zrobi na Kasi. Nie czekali długo; dziewczynka niebawem otworzyła oczy a na widok błyszczącego na dnie muszelki talara, krzyknęła głośno z zadziwienia i radości.

— Co ci jest? Co ci się stało? biegnąc ku niej i niby nie rozumiejąc przyczyny tego krzyku, pytały dzieci.

— Sprawdziło się opowiadanie babuni — wołała szczęśliwiona Kasia — dobra bogini przyniosła mi w porannej godzinie ten śliczny srebrny pieniążek; będę mogła za niego kupić trzewiczki na zimę, ale czemuż syrena przysłała właśnie wtedy, kiedy spałam, czemuż nie mogłam jej zobaczyć i podziękować!

Odtąd dzieci często odwiedzały małą Kasie, której czasem zajęła się ich mama i która z wolna odzyskiwała siły i zdrowie, ale ile razy dziewczynka z wdzięcznością zaczynała mówić o wodnej bogini, znoszącej biednym chorym dzieciom srebrne pieniążki, Janek i Józio śmieli się ukradkiem, a Marynia z palcem na ustach nakazywała im milczenie.

## U cioci Polci.

(Dalszy ciąg.)

— A może i to wam się podoba — rzekła ciocia, uśmieając się z zachwyconych i zadziwionych minek; zagiegnęła znowu stół inaczej i pokazała wiatrak (fig. 23).

— To dla mnie będzie — zawołała Irenka ucieszona.

— A może moja podwójna łódeczka wam się podoba? — spytała ciocia i biorąc wiatrak z rąk Irenki w ramię, wzięła z niego dwie łódeczki razem złączone.

Dzieci przyjęły je okrzykami podziwu — ciociu, naucz nas to robić, a już nigdy nie powiem, że zabawki z papieru dobre tylko dla dziewczynek — prosił Henryś.

— To bardzo proste; weźcie na nowo stół, jeden róg nazywa się *a* drugi *b* jeden punkt *c* a drugi *d* (fig. 18). Połóżcie *a* na *b*, złożcie papier a zrobi się...

— Statek żaglowy — zawołał Kazio.

— A teraz wiatrak. Zamieńcie napowrót statek na stół, zagnijcie cztery nogi, aby leżały zupełnie płasko na stole i wiatrak gotów; trzeba go przymocować szpilką do kija i biegać z nim to zacznie się kręcić.

— A jak zrobić podwójną łódkę?

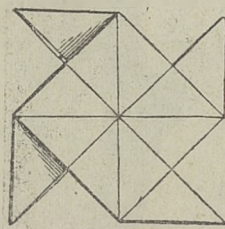


fig. 23.

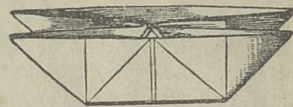


fig. 24.

— Zamieńcie znowu wiatrak na stół, i złożcie go tak aby punkt *c* leżał na punkcie *d* (fig. 18) i przyciśnijcie do brzoze papier (fig. 24).

— A teraz zrobimy duże, szerokie czółno — rzekła ciocia; taki galar w którym przywożą do Warszawy rumiane, jabłuszka. Zajrzyjcie do waszych łódeczek, ujrzyjcie w każdej trójkątny kawałek papieru złożony na dnie; wyciągnijcie jeden z nich ostrożnie, będziecie mieli taką figurę, i ciocia wskazała na swój kawałek papieru (fig. 25).

— To wygląda jak kwadrat otoczony z trzech stron trójkątami — rzekła Elżbietka.

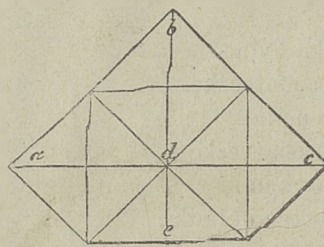


fig. 25.

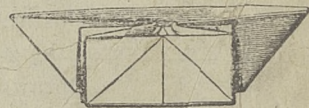


fig. 26.

— Nazwijmy, górne kąty tych trójkątów *a*, *b*, *c*, środek kwadratu *d*; a ten punkt na dole *e*, złożcie papier tak, aby *a*, *b*, *c*, leżały na punkcie *d*; wtedy zrobi się kwadrat; złożcie go jeszcze przez pół i z owej podwójnej łódeczki zrobi się jedna łódka z torebką obok (fig. 26). Jeżeli to samo zrobicie z pozostałą łódeczką to będziecie mieli dwie torebki obok siebie, (fig. 27).

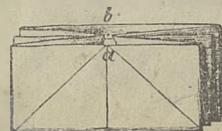


fig. 27.

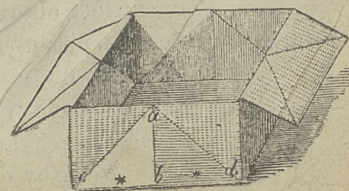


fig. 28.

— Nazwijmy zewnętrzne kąty torebek *a* i *b*. Weźcie różnicę *a* w dwa palce lewej ręki, *b* w dwa palce prawej i odciągnijcie powolutku w obie strony.

— Torebki zamieniły się w bardzo ładne pudełko o różną pokrywką — zawołała Elżbietka (fig. 28).  
(d. c. n.)

## SPEŁNIONE PRYZRZECZENIE.

(Ciąg dalszy).

Witold poczerwieniał. Wstyd mu było, że Marta dziadzia o jego niegodziwości, bo pewnie dziadunio już powiedział, skoro dla ulagodzenia kary, namawiała go dziadunia przeprosił dziś jeszcze, nie odrzekł nic innego.

Miał wprawdzie wielką ochotę zapytać Martę, czy dziadunio bardzo ma minę zagniewaną i co robił, że nie wyszedł jeść razem z nim kolacyi, ale obawa moralistów służącej wstrzymała go. Usiadł do stołu i zabrał się do jedzenia. Lecz pieczeń mu nie smakowała, herba-pił pomału, łyżeczka za łyżeczką, patrzył na pusty fodziadka i było mu bardzo niemiło. A Marta przypomniała mu jeszcze anioła stróża. I na myśl przyszła mu raz owa pamiętna chwila, kiedy dziadunio klęcząc z nim razem, uczył go modlitwy do tego anioła, a później powiedział, że każde dziecko ma swego niewidzialnego opiekuna, który nad niem czuwa we dnie i w nocy, że czyny piękne, szlachetne, zapisuje co wieczór w księgę błogą, niedobre zaś w czarną. Że anioł stróż smuci się bardzo gdy dziecko powierzone jego pieczy popełni czyn niegodny, i że nieraz nawet odwraca się od niego na zawsze.

Odsunął szklankę z niedopitą herbatą, podparł głowę na rękę. „Dziś prawdopodobnie aniołek mój odwróci się odemnie na zawsze — pomyślał — a dziadunio z pewnością ukarze! Boże, Boże, jakież ja jestem nieszczęśliwy!”

Wtem z pokoju dziadka dał się słyszeć najpierw wonek, a wkrótce potem przyspieszone kroki Marty słowa wyrzeczone surowo:

— Poproś tu do mnie Witolda, już pewnie wypił herbatę.

Marta rzuciła błagalne spojrzenie na starca, chcąc niemiłą prośbą wyjednać łaskę i przebaczenie dla swego wychowanka lecz nie widział tego, bo głowę miał spuszczonej ku ziemi.

— Dziadunio prosi Wicia do siebie — rzekła, przędo otwierając drzwi do pokoju, w którym Witold siedział przędziej jeszcze wybiegła by nie być świadkiem gniewu pana, a też chłopca.

Witold na to wezwanie zadrżał, powstał z krzesła pomału podszedł ku drzwiom. Tu się zatrzymał.

— A może nie iść — pomyślał — zamknę się w moim pokoju, udam, że śpię, do jutra dziadunie ocalenie z gniewu, i może nie będzie tak surowym jak dziś.

I cofnął się krok w tył by ten zamiar wykonać, gdy

na myśl przyszedł mu znów anioł stróż. Więc do poprzednich swych przewinień doda jeszcze kłamstwo i nieposłuszeństwo i zasmuci więcej jeszcze swych dwóch opiekunów, i tego co tam gdzieś, niewidzialny smuci się, że w czarną księgę zapisze taką rzecz straszną, i ten ukochany co go wychował, pielęgnował gdy był chory, pieścił i całował gdy był grzeczny. Nie, tego nie zrobi. Bądź co bądź iść trzeba, iść musi. Prześegnał się więc dla dodania sobie odwagi i cicho wsunął się do gabinetu dziadka.

Dziadunio siedział na fotelu. Jedną ręką podparł siwą głowę, na twarzy prócz zwykłej powagi widniał smutek i przygnębienie.

— Chodź—rzekł surowo do wchodzącego chłopca— i słuchaj. Popełniłeś czyn niegodny, przestępstwo wielkie! Skaleczyłeś biedne dziecko i ono prawdopodobnie zaniewidzi, jesteś więc małym zbrodniarzem, a czyn twój jest tem okrutniejszy, że pochodził ze złego serca, i że do tej niecznej igraszki skłoniłeś swych towarzyszy. Za czyny nasze, czy to w dojrzałym wieku, czy w twoim, jesteśmy odpowiedzialni i skutki stąd wynikające ponosić musimy. Karać cię więc w sposób zwykły, jak się karze niepocziwe dzieci nie będę. Nie dostaniesz ani różgą, ani w komórcie o chlebie i wodzie siedzieć nie będziesz. Klęczeć także nie, bo to do niczego nie prowadzi, lecz jutro pojedziesz ze mną do chaty biednego Szmula, ojca twej ofiary i przypatrzysz się skutkom twej pustoty, a ponieważ dziecko leczyć trzeba, oddasz więc na leczenie jego wszystkie swe oszczędności i sam pielęgnować je będziesz.

Witold poruszył się żywo. Spojrzał błagalnie na dziadka. Jakto, oddać wszystkie pieniądze, to niepodobna. Więc całorocznie, skrzętnie zbierane grosze, aby sobie na zimę kupić łyżwy, o których już od tak dawna marzył, mają iść dla jakiegoś tam chłopca! I znów nie będzie z całorocznej radości? A on z takim upragnieniem oczekiwał tej chwili, w której przypasze łyżewki i z towarzyszami posuwać się będzie po szklistej lodowej tafli! I jeszcze dziadunio każe mu pielęgnować. Boże! jaki ten dziadunio surowy! Nie ośmielił się jednak nic przemówić, spojrzał tylko poraz drugi jeszcze błagalnie!

Ale napróżno, dziadek zdawał się nic nie widzieć i ciągnął dalej:

— To, co powiedziałem, jest rzeczą świętą i nieodwołalną, zastosujesz się więc do tego. A teraz idź, uklęknij do paciorza i przeproś Boga, boś Go ciężko zasmucił. Proś, by dziecko wzrok odzyskało, a przede wszystkim by ci udzielił tej łaski, byś wyrządzoną krzywdę mógł całkowicie wynagrodzić.

Skończył, zapanowało grobowe milczenie.

Witold stał ze spuszczonej smutnie głową. W gardle coś go tak dławilo, że słowa przemówić nie mógł, z wolna podszedł do fotelu dziadka, chwycił go za rękę i gorąco przycisnął do ust.

— A ty dziadunio, czy mi przebaczysz? — wyszeptał — czy mnie jak dawniej kochać będziesz?

W oczach starca błysnęła łza.

— Chodź — rzekł — pomodlimy się razem; przede wszystkim Boga winiłeś przeprosić, ja ci w tem pomogę, a dla mnie staniesz się tym ukochanym dawnym

wnukiem, wtedy dopiero, gdy jakim czynem szlachetnym zmażesz dzisiejsze twe przewinienie. Dziś, do serca tak jak dawniej przycisnąć cię nie mogę.

I starzec powiódł chłopca przed obraz ukrzyżowanego Chrystusa, ukląkł z nim razem i dwie głowy, starca i dziecka, pochylały się kornie ku ziemi i modlili się długo i gorąco.

(d. c. n.)

### ZAGADKA.

Zwierz który miał *i* w nazwie skradł z folwarku kurę,  
A że był wielce szczywany, chytrą miał naturę  
W głowie taki naprędce wysnuł sobie wniosek,  
Że gdy dopadnie przedmiot, z tych co on sam zgłosek  
To choć tam *a* wpośrodku, aż z daleka bije,  
Wszelako się wśród niego przed ludźmi ukryje.  
Lecz niespodzianie zgłoski znów spotkał też same  
Co już jego wybiegom położyły tamę.  
Gdyż o pomiędzy nimi zmieniło rachubę,  
I w niem nasz chytry filut napotkał swą zgubę.

### ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Ułożył Gołąbek.

Z następujących sylab: Do—i—o—ma—e—da—el—  
szo—ba—fi—rzeł—rya—ge—fez—nia—ba—a—nia — uło—  
żył 8 wyrazów którychby początkowe litery złożyły imię  
jednego z bohaterów wojny Trojańskiej. 1) Czas obrotu  
ziemi około swej osi. 2) Córnka Agamemnona. 3) Ptak dra-  
pieżny. 4) Imię żeńskie. 5) W staroż. miasto w Małej Azji.  
6) Państwo w Europie. 7) Wyspa na morzu Śródziemnem.  
8) Królestwo w Abisynii.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 47-go.

Szarady: Ra — fa — el.

### Arytmogryfu kryształowego:

K  
L o t  
ł a s k a  
p a n t e r a  
n o s o r o ż e c  
K o s t r z e w s k i  
i c h n e u m o n  
s ł o w i k i  
ł a s k a  
o k o  
i

### Zadania konikowego:

Nigdy ze stodoły pustej,  
Nie wyleci wróbel tłusty.

### Skrzynka do listów.

**Na kolonie letnie odebraliśmy:** od p. Anieli P. rs. 3 kop. 10, od Stefci L. na wpis dla biednego ucznia rs. 1, za jedno i drugie Bóg zapłać.

*Orzeł bystrooki* słuszną zrobił uwagę, ale omyłka nastąpiła skutkiem pomyłki drukarskiej, w liczbach zastępujących litery w zadaniu. Przy największej nawet uwadze omyłek podobnych nie zawaze ustrzedz się można.

*Marylce i Helence K.* Wysłano przyznane nagrody, prosimy o częstsze liściki.

*Hali T.* Redakcja chętnie spełnia każde żądanie swoich czytelników, prosimy tylko o tytuły książek, a postaramy się wysłać je jak najprędzej. Inaczej posłać ich nie można tylko pocztą, stosownie do życzenia mogą być wysłane za zaliczką pocztową. O ile to będzie możebnem postaramy się także wysłać wymienione premium.

Z przyjemnością odbieralibyśmy częściej tak porządne i czytelnne liściki, jakim nas obdarzyła *Zosiu S.* Wieczory pod nowym adresem już wysłano.

Rebus *Aleksandra S.* musiałby być lepiej narysowany, gdybyśmy go chcieli umieścić.

Zagadki, łamigłówki i szaradę *Józia i Bolka, Maryi Ch., Władysława P., Złotej rybki, Białonóżki i Zygmunia D.,* przejrzymy w wolnym czasie.

Dobre rozwiązania przysłali: *Staś z Czerniatyna, Litwinka, Pierwszy śnieg, Wojcio i Nina P., Winia z Loszkowic i J. M.*

*Konwalijce.* Zaginiony numer chętnie wysyłamy, a zapóźnionej sukienki z niecierpliwością oczekiwac będziemy przed świętami, bo zima długa jeszcze i ciężka, a tyle biednych dzieci pozbawionych ciepłej odzieży, wygląda litościwej pomocy szczęśliwszych od siebie rówieśników.

Dla czego to *L.* piszesz do mnie tak ceremonialnie nazywając *szanowną Jaskółką*, ja zawsze proszę byście pisały do mnie jak do dobrej i równej wam wiekiem przyjaciółki. Żądany numer wyślemy po otrzymaniu adresu, którego zapomniałaś podać. Komedijki pomieszczamy zawsze co czas niejaki, i teraz mamy już kilka gotowych, które wkrótce będą drukowane.

*Zosi J.* Za liścik starannie napisany dziękuję bardzo. Wakacje przepędziłam bardzo wesoło na wsi. Teraz mam dużo zajęć i czas płynie prędko i przyjemnie. Śnieg prószy czasami, ale dotąd małeńka dopiero jego warstwa pobieliała nam czarną ziemię.

Bardzo rada jestem, że *Winia E.* chce się zapisać w grono stałych korespondentek, o moje dobre względy nawet się starać nie potrzebujesz bo masz je już naprzód zapewnione. Rozwiązania zadań oddawać będę Redakcyi, proszę tylko pisuj często do życziwej ci już,

*Jaskółki.*

Dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma, przypominamy o odnowieniu opłaty na rok przyszły 1898 na:

**„WIECZORY RODZINNE.”**

które wychodzić będą pod temi samemi jak dotąd warunkami i w tym samym kierunku: